

Bardzo chce zajrzeć do środka. Staje na palcach, by z noskiem przyklejonym do szyby dostrzec coś zza wiszącej od połowy okna firanki. Wśród dorodnych głów pelargonii, które zwykle bujają się wywieszane na zewnątrz, a dziś, z niewiadomych przyczyn, są uwięzione w domu, panuje ciemność. Ale tam prawie zawsze jest ciemno. Przez małe okienka światło przedziera się do pomieszczeń tylko w bardzo słoneczne dni.

Odwraca głowę, żeby spojrzeć na drogę prowadzącą do ich chałupy. Surmena z trudem stawia kroki, zawsze miała problem z nogami, a Jakubek na pewno nie ułatwia jej zadania. Jest ciężki, dobrze wie, sama nie daje już rady go udźwignąć.

Znów obraca twarz do okna. Wydaje jej się, że widzi nogi. Wystają zza pieca, tylko od kolan w dół, ale tak, to nogi, w ciężkich, czarnych gumiakach.

– Widzę nogi! Tatuś jest w domu! – krzyczy do Surmeny. – Jednak jest!

– Czekaj, odejź. – Surmena z Jakubkiem na rękach odsuwa ją, kiedy wreszcie udaje jej się doczłapać na wysokość chałupy. Robi daszek z dłoni i przyciska twarz do najwyższej szyby. – Ano jest, jest. Łachudra.

Prostuje się, poprawia Jakubka na rękach i mówi:

– No chodź. – A kiedy się odwraca, słycać jeszcze, jak mamroczę do siebie: – Niech no ja cię ino dorwę, ochlajtusie.

Surmena energicznym krokiem obchodzi gruby mur chałupy, ona tuż za jej spódnicą. Kroki chlupocą w rozmięklej, mokrej ziemi. Próbuje wskakiwać w ślady po Surmenie, ale nie nadaża. Skrzypnięcie furtki, jej też udaje się wśliznąć. Zostawia otwartą i przebiega obok Surmeny w stronę drzwi wejściowych, na jej plecach podskakuje szeroki tornister, nad nim dyndają dwa cienkie warkoczyki, wstążka uchowała się tylko na jednym. Przed progiem przystaje. Z szeroko otwartymi oczami i rozdziawioną buzią odwraca się do Surmeny. Przy drzwiach stoi pieniek, ale brakuje wbitej w niego zwykle siekierki. Wzdęte ciała kotki i kociąt muszą tam leżeć od dobrych paru godzin.

– To Micka – szepcze. – To nasza Micka. I kotki. Nawet nie zdążyła nam ich pokazać!

Ciało kota napęczniało niczym balon, nad krwawą jamą karku roi się od much. Martwe kotki mogłyby zmieścić się w dłoni. Gdyby spuścić je ze wzgórza, maleńkie i wydęte od gazów jak kuleczki, stoczyłyby się pewnie aż do Hrozenkova.

– Ochlajtus, łajdak jeden, zapłaci za to – dusi się z wściekłości Surmena, mocno chwyta ją za ramię, odciąga od krwawej sceny i popycha w stronę drzwi, do środka, do małej sieni. – Buty wytrzymaj, cobyś nie nabrudziła – mówi ze złością, ale niepotrzebnie, ona sama wie, powoli jeździ nogami po wycieraczcze, odwracając się ukradkiem, by kątem oka jeszcze raz zerknąć na to, co zostało z Micki. – Nie patrz, będziesz mieć złe sny! – karci ją Surmena.

Dora słucha i szybko wchodzi do środka. W drzwiach do izby wpada na Surmenę. Robi ostatni krok, przeciska się między bokiem Surmeny a ościeżnicą, ale nagle jej drobne kroczyki cichną, a wzrok zatrzymuje się na podłodze z desek. Obok nóg

tatusia leży mamusia, spódnicę ma podkasaną wysoko nad uda, a wkoło, wszędzie wkoło niej pełno ciemnej, zaschniętej krwi. Cisza. I oni, we troje, skamieniali w drzwiach.

– Wyyyjść! – Wysoki głos Surmeny przecina ciszę niczym ostrze noża. Dora wzdryga się, podskakuje, uderza główką w furtkę, po czym wybiega na dwór, nogi jej się płaczą, mało się nie przewraca. Za plecami słyszy wystraszony płacz Jakubka i Surmenę, krzyczącą wciąż tylko: – Wyjść! Wyyyjść!

Biegnie więc, mija Mickę i jej kocięta, leci wzdłuż drewnianego płotu, przez furtkę, okrąża chatę drogą rozmięklą od letniego deszczu, w dół, byle dalej. Pędzi aż do domu Surmeny. Tam przystaje, grzecznie otwiera i zamyka za sobą furtkę. Tu już nie musi gnać, powoli, jak zwykle, podchodzi do ławki na przyzbie. Siada i czeka, wbijając wzrok w przeciwległe wzgórze. Widzi, jak drogą, którą przed chwilą biegła ona, kuśtyka teraz Surmena, jak garbi się pod ciężarem Jakubka, ale idzie szybko, tak szybko, jak jeszcze nigdy nie szła. Już słysząc płacz brata i ciężki oddech Surmeny.

Surmena ciężko opada na ławkę. Jedną dłonią głaszczce po głowie Jakubka, drugą kładzie na jej ramieniu.

– Nic się nie stało, nic się nie stało – mówi kojącem głosem. Ale ona nie wierzy. Tamto to nie jest nic.

Słońce zachodzi, w góry zakrada się ciemność. Dora siedzi na ławce, płacz Jakubka stopniowo cichnie, tylko czasem z jego piersi wyrywa się słaby, urywany szloch. Po chwili Dora słyszy już jedynie równy oddech z nieśmiałym szelestem glutka. Surmena oddycha spokojnie, ale ręka, obejmująca opięte paskami tornistra ramionka Dory, wciąż się trzęsie. Na szelkach teczek są duże czerwone odblaski, tak jak chciała. Duże czerwone tarcze odbijające światło, kiedy na nie poświecić, takie jak mają dzieciaki z dołu, z Hrozenkova. Jechały po ten tornister z mamusią aż do Uherskiego Brodu, to było zeszłego lata.

Nad ich chałupą na przeciwległym zboczu zapadł już zmrok, noc wynurzyła się zza góry powolnym, niepowstrzymanym strumieniem, jakby ktoś wylewał ją z Bojkovic.

– Zostaniecie ze mną – mówi po chwili Surmena.

A potem, kiedy otula ją kocem na posłaniu z wygarbowanych owczych skór, za piecem, w ciepłe, które zalewa ją od zewnątrz, a po szklance parzonego maku także od wewnątrz, od samego żołądka, Dora słyszy jeszcze:

– Nie bój się, jakoś sobie poradzimy. Będziesz mi za *andzjela*. Żle ci nie będzie. Zobaczysz.

xx CZĘŚĆ PIERWSZA xx

```
      x  
     x x x  
    x x x x x x x  
   x  
  x  
 x
```



## Surmena

Długo uważała to wydarzenie za początek wszystkich jej trosk. Tyle że one wcale nie zaczęły się, kiedy stanęli w drzwiach chałupy na Koprwarzach i wpatrywali się w ciała rodziców. Dora nie była na tyle mała ani głupia, żeby nie wyczytać z rozemocjonowanych twarzy wieśniaków, że wszystko to zaczęło się już dawno temu, tam gdzie jej krótka pamięć nie sięga. Nie dała się zwiść ich smutnym minom i okrzykom: „Co za nieszczęśliwy wypadek!”. Albo: „Dlaczego właśnie wam musiało przytrafić się coś takiego?!”. Nie nabrali jej, bo sama była częścią tego, o czym mówili, choć nie potrafiła tego nazwać, czuła to całą sobą, w każdym oddechu. I mimo że bardzo starali się to ukryć, i tak dotarła do niej szeptana za plecami prawda. Że wszystko się zgadza, że wiadomo było, że tak to się skończy. Tak albo inaczej, ale na pewno tragicznie. Bo jej matka była boginią, a żadna bogini nie ma łatwego losu.

Dora pojęła też, że ich przypadek przekraczał wszelkie granice, bo jak gadali ludzie, od ponad trzystu lat żadna ze znających się na bogowaniu kobiet nie skończyła pod ostrzem siekiery.

Dlaczego więc właśnie jej matka? W kółko zadawała wszystkim to pytanie i nie otrzymywała odpowiedzi. Nikt nie chciał

o tym rozmawiać. Kiedy próbowała się czegoś dowiedzieć, ludzie wzdrygali się ze strachu i odwracali wzrok, jakby bluźniła w obecności świętych relikwii. Milczała także Surmena.

Pozostało jej zatem tylko tyle: stłumić to pytanie gdzieś głęboko w sobie. Po kilku miesiącach dojrzała do tego i zatrzasnęła drzwi za tragedią, zdecydowana nigdy, przenigdy do niej nie wracać. Wszystko jedno, kiedy się to wszystko zaczęło, wszystko jedno, jak się skończyło.

Miała przecież teraz pełne ręce roboty. Uczyla się, jak być *andzjelem*, a w nawale nowych, emocjonujących obowiązków powoli zacierał się jej żal. Ona – *andzjelem*!

Wcześniej tylko o nich słyszała. O dobrych aniołach, które przyprowadzają potrzebujących do bogiń i nigdy źle na tym nie wychodzą. Do tej pory jednak żadnego nie spotkała, choć tyle razy specjalnie wypatrywała ich na zboczach, skąd miała widok na chaty Surmeny, Irmy czy Kateřiny Hodulíkovej.

– Pokaż mi swojego *andzjela*, ciociu! Kto nim jest? – wypytywała zawsze, kiedy chodziły tamtędy z matką i Surmeną.

Ciotka udawała, że pierwszy raz w życiu słyszy o jakichś aniołach, a jej matka, Irena, śmiała się:

– Ja przecie jestem boginią, a nie mam żadnego anioła. Wiesz tu jakiego?

Ale jej matka była inną boginią, taką niezwykłą. Właściwie za bardzo nie bogowała. Anioły nie miały więc kogo do niej prowadzić.

Teraz tajemnica pękła niczym przejrzały strąk, wysypując wszystkie wcześniej pilnie skrywane ziarenka – Dora nie tylko dowiedziała się, kim są anioły bogiń, lecz także została jednym z nich.

Wszystko się zmieniło, cały świat. Koniec z długimi popołudniami, jednym podobnym do drugiego, koniec z długimi godzinami bezkresnej nudy, nijakiego życia o nieostrych



konturach. Odkąd została aniołem, nigdy już nie siedziała po próżnicy na ławeczce u progu samotnej górskiej chaty. Jej czas stał się częścią czasu wielu ludzi, wśród których pełniła ważną funkcję. Pełniła ją z dumą i poczuciem odpowiedzialności, świadoma kontynuowania tajemnej tradycji, mającej początek w przeszłości tak dalekiej, że nikt z Žitkovej, nikt z całych Kopanic Morawskich nie potrafił sobie tego wyobrazić. Każdy tylko z pokorą kiwał głową: „Bogowanie jest stare jak świat, a boginie i *andzjele* były tu od zawsze”.

Jak świat światem – od zawsze. Dora dobrze o tym wiedziała, jednak nim została aniołem, nie miała pojęcia, że bycie boginią i sztuka bogowania to taka rzadkość. Że gdzie indziej tego nie ma. Kiedy była mała, myślała nawet, że bycie boginią to po prostu zawód, że kobiety dzielą się na ciotki z poczty albo sklepu, na dojarki ze spółdzielni rolniczej i na te, co żyją z bogowania. Nie przyszłoby jej do głowy, że gdzie indziej tak nie jest. Dopiero gdy została aniołem i przekonała się, z jak daleka ludzie przyjeżdżają do nich po radę czy uzdrowienie, zrozumiała, jak wyjątkowe są miejscowe kobiety. Tym gorliwiej *andzjelowała*, uważnie słuchając wszystkiego, co wpajała jej Surmena.

– Jak przyjedzie autobus, stój zawsze niedaleko przystanku, nie zwracaj na siebie niczyjej uwagi, czekaj, aż kto sam się do ciebie zwróci. Jak spyta o drogę do bogini, pytaj, czy on taki głupi, że w boginie wierzy. Czekaj, co odpowie. Jak będzie zakłopotany, przyprowadź go. Jak będzie zbyt pewny siebie, lepiej odpuść, taki to nic dobrego. I uważaj na pary. To podejrzane, jak kto w parze przyjeżdża. Ludziska zwykle przybywają z własną troską, a do tego świadków ani towarzystwa im nie trza – powtarzała często Surmena.

Dora pilnie słuchała. Dokładnie przyglądała się ludziom, których wypływały popołudniowe autobusy z Brodu, i kiedy tylko dostrzegła osobę zakłopotaną, bezradnie rozglądającą się

dokoła, podchodziła, niby to przypadkiem, i czekała, aż spyta: „Dziewczynko, wiesz może, gdzie tu mieszka bogini?”

Ludzie byli różni, zwyczajni i dziwni, prawie zawsze samotni i zmartwieni, ale czasem zdarzały się pary, przed którymi ostrzegła Surmena. Najczęściej kobieta i mężczyzna, oboje młodzi i zdrowi, tacy w ogóle nie wyglądali na ludzi z problemami – na oko Dory nie potrzebowali pomocy bogini. Do dziś pamięta jedną taką parę, spotkała ją na początku swojego *andzjelowania*.

Stali na przystanku długo po odjeździe autobusu, dokładnie tak, jak to zawsze robią nietutejsi, jeśli chcą znaleźć którąś z bogiń, ale nie znają drogi. Dora chwilę ich obserwowała – ubraną jak na wycieczkę w góry kobietę, która w dzień powszedni wyglądała w tym stroju dość nietypowo i która gwałtownie prostowała się za każdym razem, kiedy odzywał się do niej towarzyszący jej mężczyzna. Miał na sobie kapelusz i długi płaszcz i zachowywał się, jakby jej nie znał. Od razu wydali się Dorze podejrzani, chciała się ulotnić, ale nim zdążyła, mężczyzna dał kobiecie znak głową, a ta ruszyła w jej stronę.

– Dziewczynko, wiesz może, gdzie tu mieszka bogini? – zawałała przymilnie kobitka.

Dora przez moment przestępowała z nogi na nogę, potem niepewnie potaknęła i wskazała na szczyt góry Kykuli.

– Tam, na górze, w lesie. Trzeba iść niebieskim szlakiem aż do krzyża, stamtąd widać jedną jedyną chałupę, tam mieszka bogini.

Kobieta skwapliwie podziękowała i wyciągnęła z kieszeni koronę, którą wcisnęła w dłoń Dory. Obróciła się i dziarsko ruszyła we wskazanym kierunku. Mężczyzna szedł kilka metrów za nią. Dora odprowadziła ich wzrokiem, wreszcie zniknęli za zakrętem drogi wiodącej do podnóża dzikiej karpackiej góry.

Do dzisiaj była ciekawa, czy parka przenocowała wówczas w paśniku, w samym środku gęstego lasu, gdzie nie przedostawał

się ani promyczek światła i nie było tam nic prócz niebieskiego szlaku, który prowadzi z Hrozenkova do krzyża, a za nim się urywa, czy może zdążyła przed zmrokiem wrócić do wsi. W każdym razie ostatni autobus do Brodu odjeżdżał kwadrans po czwartej, a oni na niego nie zdążyli na pewno.

Ale nie wszyscy przyjezdni byli tacy podejrzani. Przeciwnie, zwykle byli to ludzie, którzy naprawdę potrzebowali pomocy Surmeny. Z czasem Dora nauczyła się rozpoznawać ich na pierwszy rzut oka. Zasepiona starsza pani z torbą – bez wątpienia chodzi o dzieci. Młoda dziewczyna stojąca niepewnie przy rozkładzie jazdy – na sto procent sprawy sercowe. Przyjeżdżali też ludzie od razu wyglądający na chorych. Dora lubiła swoją rolę, lubiła prowadzić naprawdę potrzebujących do Surmeny, wiedziała bowiem, że ciotka im pomoże, a ich twarz już wkrótce rozjaśni coś niezwykłego – nadzieja.

Dora brała ich za rękę już na przystanku, gdzie prosili, by zaprowadziła ich do bogini, i wiodła w górę, w świat tutejszych kopanic, czyli wzgórz z samotnymi chatami i ręcznie obrabianymi poletkami. Przechodziła z przyjezdnymi obok cmentarza, kopanicy Černej, potem lasem aż do rozdroża, skąd widać było chatę Surmeny, stojącą na kopanicy Bedová. I *andzjelowała*, dokładnie tak, jak uczyła ją Surmena.

– Długa podróż za panem? – dopytywała się z miną niewiniątka, niby ot tak, dla podtrzymania konwersacji. – Pewnie pan zmęczony po podróży? Surmena zrobi panu herbatki z liści babki, dobrze panu zrobi. A co pan taki smutny? Coś panu dolega? Na ciele? A może na duszy?

Ćwiczyła to z Surmeną niezliczoną ilość razy – system sprytnych pytań, z rozmieszczeniem w czasie i udawaną niedbałością przy ich zadawaniu. Jakby podczas długiej drogi na žitkowskie kopanice rozmawiała z nimi ot tak, od niechcienia. A im wyżej byli w górach, tym bardziej szczerze i otwarcie wpływały

z nich tlamszone wcześniej troski. Czasem wyjawiali je powoli, czasem na złamanie karku, z ekscytującą świadomością, że już za chwilę poczują ulgę, że lada moment zrzucą balast swoich smutków na progu chałupy, u stóp kobiety, która ponoć pomaga w każdej sprawie. No i podczas długiej wspinaczki zdradzali Dorze, obcemu dziecku, którego przecież już nigdy nie spotkają, wszystkie swoje problemy i na końcu drogi, tam gdzie ścieżka piętrzyła się w stronę dwóch kopanic, Koprwazy i Bedová, tam gdzie się żegnali, Dora wiedziała już o nich wszystko. No a potem biegła do chałupy Surmeny przez las z tyłu, podczas gdy przyjezdny ruszał naokoło, łukiem otaczającym łąkę. Dziesięć minut przewagi czasowej w zupełności wystarczyło, by Dora zdążyła powiedzieć ciotce wszystko, czego się dowiedziała.

– Proszę, proszę – Surmena witała po chwili gościa i nim zdążył otworzyć furtkę, wołała: – Proszę, proszę, nie ma strachu, już ja ulżę w tym bólu pleców, z tym utrapieniem ze zgubionymi pieniędzmi też sobie jakoś poradzimy, ale z pana gapa, hę? Ale to nic, to nic, wszystko na dobre się obróci, proszę, proszę, wszystkimu zaradzimy!

Nie było na świecie człowieka, który nie padłby z nabożną czcią na twarz przed kobietą, która ledwo go ujrzała, już potrafiła odczytać wszystkie jego troski, choć ani słowem się nie odezwała. Ludzie wchodzili pokornie do ciemnej izby, gdzie czas zatrzymał się w połowie ubiegłego wieku i gdzie Surmena szybko stawiała na kuchni garnek do topienia wosku, a na stole miskę z zimną wodą.

– Właśnie to najbardziej im pomaga – śmiała się dobrodusznie Surmena, kiedy wychodzili, a Dora pytała, czy one przypadkiem nie oszukują tych ludzi. – Skoro uwierzyli w gadanie o tym, co umim, i zdecydowali się przyjechać po pomoc aż tu, do obcej starej baby, to jak amen w pacierzu muszą być w tarapatkach. A nuż jestem ich ostatnią nadzieją. Przychodzą, boją

się, nie dowierzają, ale nadzieja prowadzi ich aż tu, do mnie. I pamiętaj, więcej jest tych, co mają problemy nie na ciele, ino na duszy. A te problemy źle się leczy, kiedy taki bidak niedowiarkiem jest i mojej siły niepewny. Wiesz, jaka to ulga, kiedy już od progu widzi, że naprawdę mam wyjątkową moc? I jaki kamień wielgaśny z serca takiego nieboraka spada, jak zmiarkuje, że już mi w twarz gadać nie musi, co mu dolega? Wtenczas zaraz wierzy, że mu pomogę, i rację ma. Już rozumisz? To nie oszustwo, ino mądra pomoc.

A zatem Dora już nie pytała, jak święte potraktowała też słowa Surmeny:

– Nikomu nie możesz o tym mówić. Nigdy nie możesz powiedzieć nikomu, prócz mnie, co ci ludziska mówiły po drodze i że ześ z nimi w ogóle rozmawiała. To tajemnica. Musi pozostać między nami, rozumisz?

Dora skinęła głową.

– Gdyby kto się dowiedział, pomoc przestałaby działać. Rozumisz?

Dora znów potaknęła.

– A w szczególności, dziecko, co prędzej te ich opowieści z głowy wyrzucaj. Dla własnego dobra, inaczej ich troski i ciebie zaczną trapić. Obiecujesz?

Dora obiecała, bo wówczas nie istniało nic, czego by odmówiła Surmenie.

x x x

Surmena wzięła ich pod opiekę, kiedy Dora miała osiem lat, a Jakubek cztery. Dora była pewna, że Surmenie nawet przez myśl nie przeszło, by mogli trafić do kogoś innego. Wtedy nie była jeszcze taka stara, żeby nie dać sobie z nimi rady, a wielkie serce nie pozwoliłoby jej postąpić inaczej. W dodatku nie

miała własnych dzieci i Dora do dziś była przekonana, że oni je zastąpili.

W sześćdziesiątym szóstym, kiedy się do niej wprowadzili, Surmena miała mniej więcej pięćdziesiąt lat. Ale już wtedy było w niej coś, co czyniło z niej staruszkę. Może to przez włosy skryte pod chustką, którą nosiła do stroju ludowego, chociaż nigdy nie była zameżna, może przez siatkę drobnych zmarszczek biegnących krzyżującymi się ścieżynkami po jej twarzy, może przez posturę, pochyloną, jakby chciała skulić się sama w sobie. Chodziła przygarbiona, z zapadniętą klatką piersiową, właściwie nie tyle chodziła, co skakała, z powodu nogi, która przy każdym postawionym kroku lekko się gięła, upodabniając chód Surmeny do podskoków wróbla. Mawiała, że to pamiętka z wojny, kiedy uciekała do lasu i upadła tak pechowo, że nie potrafiła sobie pomóc. Nawet ona. Niby *naprawiaczka* z niej znana w całej okolicy, a kuśtyka, mówili ludzie. Tylko niby jak miała sama sobie nastawić nogę? Jak miała nią szarpnąć i szybko obrócić tak, by staw wskoczył z powrotem dokładnie na swoje miejsce? Zrobiła, co się dało, usztywniła nogę długimi gałęziami i czekała, aż przejdą wojska – sama w lesie, trzy dni i trzy noce.

Dora była później kilka razy świadkiem, jak Surmena przeprowadzała tego typu zabiegi. Stała nad chorym w rozkroku, nachylona obejmowała jego udo lub łydkę, w zależności od tego, który staw był wybity, ściskając zarazem kostkę pacjenta pod pachą. Z całej siły szarpała i przekreślała nogę, poszkodowany wydawał przerażający okrzyk, aż Dorze zdawało się, że on umiera, a potem nagle cisza – staw wjeżdżał na swoje miejsce. Kiedyś spytała, gdzie Surmena się tego nauczyła, a ona zrobiła dziwny grymas. Powiedziała, że to była jedyna rzecz, której nie przejęła od swojej matki, bogini Justyny Ruchárki. Umiejętność nastawiania kości zawdzięcza grabarzowi z Hrozenkova, właściwie nauczyła się tego na ludziach. Na martwych ludziach.

Ze wszystkich bogiń z Žitkovej grabarz wybrał właśnie ją, bo mieszkała w chałupie sama, tylko z młodszą siostrą Ireną. Pewnego wieczoru po prostu ich do niej przywiózł. Ponoć już z daleka słyszała, jak kości postukiwały jedna o drugą w trzech drewnianych skrzyniach. Przytachał je prosto z cmentarza, na wózku i bezceremonialnie wyładował u nich w izbie. Tak go jakoś naszło, że mogłaby się na nich trochę podszkolić, jak składać kości. Upierał się, że to się bardzo przyda. Zwłaszcza w czasach, kiedy zanosilo się na wojnę. Surmena z początku była przerażona. Trzy skrzynie przez trzy doby stały w izbie. Zamknięte, tak jak je tam zostawił grabarz, a one z Ireną spały na strychu, bo bały się przebywać z nimi w jednym pomieszczeniu. Ale grabarz przychodził co wieczór, sprawdzał, jak jej idzie, trzeciego dnia nie wytrzymał, podważył wieka skrzyń i sam złapał za białe, trochę tylko umazane ziemią kości, próbując je ze sobą złożyć. Surmena najpierw mało nie zemdląła. Jednak potem nie mogła już na to patrzeć. Wyrwała nieporadnemu mężczyźnie kości z rąk i zabrała się do składania, zdając się na własną znajomość budowy ludzkiego ciała. Niestrudzenie próbowała dopasować kości do siebie, wiązała je drutem. Dłubała w nich tak długo, aż w końcu wszystkie elementy znalazły się na swoim miejscu, a w izbie stanęło trzech przystojniaków. Podobno właśnie dzięki nim, czy raczej przez nich, Surmenie odechciało się zamążpójścia. Ale sława o jej umiejętnościach się rozeszła i na *naprawy* zaczęli przychodzić do niej petenci ze strony morawskiej i słowackiej. Przychodzili też po tym, kiedy rozniosło się, że ona sama nigdy już dobrze nie stanie na własnej nodze.

Właśnie taką, kuśtykającą i zgarbioną, Dora pamiętała Surmenę od zawsze. Jednak ułomność na ciele nie miała najmniejszego wpływu na jej charakter – była wobec siebie twarda i nieprzejednana, nigdy nie unikała żadnej pracy fizycznej, nawet wówczas, gdy jej kalectwo musiało być naprawdę uciążliwe,

od innych też wymagała, by się ze sobą nie pieścili. Także od nich, dzieci.

Dziś Dora jest jej wdzięczna za tę zycliwą bezwzględność, za to, że się z nimi nie cackała i nie pozwoliła myśleć o tragedii. Zachowywała się jak gdyby nigdy nic i już na drugi dzień pogoniła ich do szkoły i do roboty. Ale przez pierwsze popołudnia czekała z Jakubkiem przed szkołą, żeby potem zaprowadzić Dorę na górę, na Bedovą. Na pewno czuła, że będzie ją otaczał krąg wścibskich, którzy nie odpuszczą sobie natrętnych pytań lub – co gorsza – będą się nad nią rozczulali. Odbieranie ze szkoły było jedynym odstępstwem od normy, jakim Surmena chciała złagodzić trudne tygodnie następujące po dramacie, który jej, Dorze, tak brutalnie zmienił życie.